

IWONA SZELEZIŃSKA

**BOMBAJ**  
/  
**MUMBAJ**

*PODSZEPTY MIASTA*

**MARGINESY**

COPYRIGHT © BY Iwona Szelezińska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

*Rodzicom*

## Nota o transkrypcji

Formy spolszczone przyjęłam przy zapisie imion bóstw hinduskich (Ganeśa, Śiwa), nazw i postaci mitologicznych, pojęć religijnych lub związanych z tradycją hinduizmu (pudża, ryszi, jogi), nazw indyjskich świąt lub ceremonii (Ganeśćaturthi), a także miejsc kultu oraz nazwisk postaci historycznych sprzed XIX wieku (Ćhatrapati Śiwadźi Maharadź).

Ponadto używam przyjętych terminów spolszczonych, przedstawiając elementy indyjskiego świata powszechnie znane w naszym kręgu kulturowym, a tym samym już rozpoznawalne w konkretnej formie (riksza, czakram, ćaj),

Zapisem angielskim – obowiązującym i obecnym na terenie Indii – posługuję się, przedstawiając wszystkie nazwiska postaci indyjskich żyjących w XIX i XX wieku oraz współcześnie. Przy pierwszym pojawieniu się danej postaci w tekście obok formy angielskiej w nawiasie prezentuję wymowę jej imienia i nazwiska, żeby ułatwić czytelnikowi ich poprawne przeczytanie. Zasada ta nie obowiązuje, gdy zapis angielski jest zbliżony do wymowy.

Nazwy instytucji, nazwy własne obiektów, także nazwy marek handlowych podaję w ich oryginalnej angielskiej formie.

Przy zapisie nazw geograficznych stosuję się do wytycznych Komisji Standaryzacji Nazw Geograficznych Poza Granicami Polski przy Głównym Geodecie Kraju.

## **Ja i Shantaram**

Pierwszy raz poleciałam do Indii w sierpniu 2003 roku. Jeszcze byłam studentką. W podróż wyruszyłam samotnie z zamiarem spędzenia tam blisko roku. Do tej pory nie opuszczałam Polski na tak długo, nigdy wcześniej nie dotarłam też tak daleko. I oto leciałam do Delhi.

Wówczas w moim otoczeniu nie miałam nikogo, poza wykładowcami na uczelni, kto by podróżował w te strony. Nie była to ani oczywista, ani popularna destynacja, nie mówiąc już o kosztach czy kwestiach organizacyjnych.

Na lotnisko, z Sopotu do Warszawy, wiozł mnie tata. Po drodze prawie nie rozmawialiśmy, bo przez ściśnięte z emocji gardło nie umiałam nic powiedzieć. Tata też za wiele nie mówił – pewnie nie wiedział o czym i jak. Pewnie trochę się martwił. W końcu opuszczałam Polskę na długie miesiące i kierowałam się do miejsca, o którym nie miał zielonego pojęcia, poza tym, co z rzadka na temat Indii przecieka do mediów. Wiadomo, same dramaty. Skupił się na prowadzeniu auta, ja – na uporczywym wpatrywaniu w przestrzeń ograniczoną rozmytą linią szpaleru przydrożnych drzew. Była pełnia lata.

Zalewał mnie strach przed dalekim, nowym, nieznanym, wymieszany z ekscytacją i ciekawością sięgającymi zenitu. Myślę, że już nigdy później nie czułam aż tak silnych, niepoddających się określeniu, wręcz przeciwstawnych sobie emocji. A ich natężenie specjalnie nie słabło w trakcie mieszkania w Indiach, rozciągniętego na kolejnych dziewięć miesięcy.

Tak, dokładnie. Dziewięć miesięcy to czas, żeby narodzić się na nowo.

Gdy tylko koła samolotu poderwały się z tafli lotniska i oficjalnie już byłam w drodze do Indii, przestałam się stresować. Uświadomiłam sobie, że nie ma odwrotu, co przyniosło mi ulgę.

Dziś już doskonale znam ten mechanizm.

Z pierwszego dnia – a raczej nocy, bo lądowałam po zmierzchu – pamiętam wilgotny upał oblepiający ciało, ten słodko-kwaśny zapach Indii, dziwny i wspaniały jednocześnie, uderzający w nozdrza momentalnie po wyjściu z samolotu. I jeszcze wielkie oczy Indusów, ich uważne spojrzenia, wszechobecne – wtedy nie umiałam wyczytać, co mogą wyrażać. Miałam się tego uczyć w nadchodzących miesiącach. Pamiętam też grafitowoczną noc, z ludźmi śpiącymi pod wiaduktami i krowami ułożonymi w ciasne kręgi. I całutki przebieg drogi z lotniska na Bhogal – dzielnicę nieopodal grobowca Humajuna\* i Nizamuddin Dargah\*\*, gdzie później będę biegać na wieczorne sesje qawwali\*\*\*. Bhogal – nowy delhijski dom, bo właśnie tam wspólnie z koleżanką wynajęłam jednopokojowe mieszkanie.

Mój indyjski rollercoaster ruszył z miejsca.

Raz zwalniał, raz przyspieszał. W górę i w dół. Niebezpiecznie przeginał się na zakrętach, by za moment znów dać chwilę na oddech. Jedzie po tych torach do dziś.

\* Nasir ad-Din Humajun (1508–1556) – drugi władca z muzułmańskiej dynastii Wielkich Mogołów, którzy sprawowali rządy w Indiach od XVI do XIX wieku.

\*\* Nizamuddin Dargah – miejsce pochówku sufickiego świętego Khwadży Nizamuddina Auliji (1238–1325).

\*\*\* Qawwali – rodzaj muzyki religijnej z rejonu Indii i Pakistanu związanej z sufizmem, mistycznym odłamem islamu.

Nadal mam swój dziennik z tamtego okresu i zapisane – pierwotnie na dyskietce, teraz już na pendrivie – maile do rodziny i przyjaciół. Czasami do nich wracam i za każdym razem jestem w szoku po lekturze własnych przemyśleń. Od wstrząsu, niezrozumienia i niechęci, przy równoczesnym zachwycie, po nieustanną analizę i ciągle porównania, wielkie zaciekawienie, zmęczenie wywołane przedzieraniem się przez trud indyjskiej codzienności, do luzu i akceptacji. Poddania się Indiom.

Pamiętam moment, kiedy coś pstryknęło. Tę drobną chwilę, która dostroiła mnie do całej reszty. Szczęśliwie zdołałam ją wyłapać i nadać jej znaczenie. Późny wieczór, impreza u znajomych moich znajomych, muzyka, rozmowy, jakieś piwo, przekąski, coś do palenia. Taras na dachu, ciepły wiatr, indyjska sukienka i *dupatta*\* zarzucona na ramiona. Jest nas mało, prawie nikogo nie znam. Ludzie wokół tańczą, gadają, śmieją się, nie do końca mam poczucie przynależności do chwili i miejsca. Stoję w lekkim odaleniu, patrzę na domy i ulicę – teraz praktycznie pustą, bo jest już późno. Ktoś spokojnie jedzie na rowerze. Nagle dostrzegam, że na skraju sąsiedniego dachu siedzi paw, wielki, z tym swoim piórkowym irokezem na głowie. Zastygł w bezruchu. Na tle nocnego nieba wygląda jak wycinanka. Cieszy mnie ten widok, choć nadal jest dla mnie abstrakcyjny. Nagły krótki krzyk, raptownie wyrwany z ptasiego gardła, wytrąca mnie z zadumy. Paw na chwilę obraca łeb w moją stronę, po czym chowa go w piórka na karku. Próbuje spać.

\* *Dupatta* (hindi/urdu) – element kobiecego stroju z północnych Indii, szal noszony na ramionach w taki sposób, że zakrywa również biust, można nim także nakryć głowę.

I tyle. W jednej chwili całe napięcie się ulotniło. W tym pawiu, w tej ciepłej nocy skupił się nieznany mi urok Indii w kontraście do wszystkich od dziecka przyswajanych obrazów z domu. Moja ciekawość i chęć odkrywania tego miejsca. Jego inności. Pragnienie stworzenia w sobie nowej matrycy do zapisu całkiem nowych obrazów. Gotowość, na którą czekałam.

Nie tylko ja dopiero co znalazłam się w Indiach. Równie świeża była książka – *Shantaram*.

Nie mówiło się o niej inaczej niż *the book*, ta książka. Jak o Biblii. Nie trzeba było wymieniać tytułu – wszyscy wiedzieli, o co chodzi. A mówiło się o niej dużo. Wśród backpackerów podczas wielogodzinnej podróży pociągiem; na goańskiej plaży przy wieczornym ognisku; nad Gangesem w Ryzikeśu; popijając lassi w restauracji na dachu z widokiem na ruiny Hampi. Na targu, na łódce, na pustyni. Na ulicy. Książka opanowała Indie. A precyzyjniej: opanowała umysły przybywających do Indii. Docierała w plecakach przyjezdnych z Zachodu, była dostępna w lokalnych księgarniach i – w mocno zużytej wersji – przekazywana z rąk do rąk. Książka. Ta książka. *The book*.

Wtedy jedynie po angielsku.

Wówczas czytałam tylko fragmenty, i to nieliczne. Wszyscy wiemy, jaka jest opasła – zwyczajnie nie chciało mi się jej czytać po angielsku. Szczególnie że Indie były wkoło, przede mną, na wyciągnięcie ręki. Wolałam je po drobince próbować i oswajać, doświadczając wszystkimi, już mocno rozpalonymi zmysłami.

Mój czas na lekturę książki przyszedł później. Lekturę po polsku, w tłumaczeniu Maciejki Mazan.



Pochłonęła mnie bez reszty, choć nie wszystko w niej lubię. Czytała ją cała moja rodzina, generalnie ludzie, których znam i mam przy sobie, jedni z wypiekami, drudzy na chłodno, niektórzy przerywali w połowie, zniechęceni stylem, w jakim została napisana. Niekoniecznie zainteresowani mafijnymi przygodami głównego bohatera. Rozumiem ich zastrzeżenia. Też czasem nudzą mnie filozoficzne dysputy z Kadirbajem i opisy walk w Afganistanie, choć uważam, że Roberts doskonale oddał w nich bezsens wojny. Przyznam się też, że nie przepadam za Karłą, nie do końca rozumiem jej postać i tę całą płochą miłość Lina do niej. Mimo to Roberts znalazł we mnie oddaną czytelnikę, można by rzec: wzorową, bo współodczuwającą. Gdyż dał mi do ręki tekst, który opowiada również o moich emocjach, mówi także moimi słowami, zbiera moje myśli. Przypomina wydeptane ścieżki. Wyłapuje pytania kłębiące się w głowie, wskazuje fragmenty indyjskiej rzeczywistości, które dopiero z czasem potrafi się do czegoś przypiąć. Odzwierciedla miłość. Moją miłość do Indii.

Dla mnie od początku do końca, od pierwszej strony do ostatniego zdania – wbrew temu, co mówi autor – jest to nie tylko książka o doświadczeniu ucieczki, samotności wygnańca, ale również tekst o Bombaju. I w ogóle o Indiach. Bombaj i Lin, na równi, to najważniejsi bohaterowie powieści.

Roberts opisuje swoją relację z miastem, krajem i jego ludźmi. Własną drogę, swój moment pstryknięcia, ciekawość i zaangażowanie w to miejsce. I jestem przekonana – ponownie wbrew temu, co mówi autor – że ta historia nie mogłaby się wydarzyć nigdzie indziej, nie można by jej przenieść na grunt pozaindyjski. Bo Indie stanowią jej trzon, mocny fundament całej narracji. Nie są tłem, ale sercem opowieści.

Gdy czytałam *Shantaram* po raz pierwszy, nie spałam kilka nocy. Oszołomiona opisem procesu zakochiwania się Lina w Indiach. Sama byłam w nich zakochana po uszy. Przeszłam podobną uczuciową drogę. Teraz znam Indie znacznie lepiej niż podczas pierwszej lektury i odbieram tę książkę inaczej. Tropię w niej drobne elementy, które rozwijam w szersze historie, by opowiedzieć o kulturowości Indusów. Autor dał mi spore pole manewru. Szukam epizodów, zdarzeń, ludzi tworzących nowy kontekst, który powoduje, że *Shantaram* nadal trwa i wciąż współgra z energią miasta. Na mapie współczesnego Mumbaju zaznaczam trasy spacerów i miejsca. Większość z nich przetrwała, mimo że zmienił się świat. Znam je dobrze. To również moje miejsca.

Dziś Mumbaju – Indii ogółem – nie odbieram już w kategoriach abstrakcji. Nie traktuję ich jako czegoś zewnętrznego. Od momentu spotkania z pawiem w tę ciepłą noc są mi bliskie. Nasze pulsy się zrównały. Czuję je, choć nadal za cholerę nie rozumiem. I dawno pojęłam, że to się nigdy nie zmieni.

Dlatego nie miałam wątpliwości.

Gdy po wielu latach pracy w turystyce podczas prowadzonej przeze mnie wycieczki spotkałam Hannę Mirską-Grudzińską, szefową wydawnictwa Marginesy, która wraz z niemalże całym zespołem przyjechała do Indii, by poznać miasto tak obszernie opisane w książce – tej książce, która dzięki jej decyzji raz jeszcze, w nowym wydaniu, trafiła na rynek. Gdy wspólnie zwiedzaliśmy Mumbaj. Gdy rankiem, odprowadzani przez kordon mew, płynęliśmy na Elefantę. Gdy razem usiedliśmy na piwie w Leopoldzie. Gdy przywiezione przez nich popiersie Robertsa, wycięte z miękkiej pianki, codziennie zdobiliśmy girlandą świeżych aksamitek. Gdy zauważyłam w oczach Hani dopiero kielkujące zauroczenie Indiami. Gdy

wymyśliła koncept książki przewodnika po Mumbaju zainspirowanego miejscami z *Shantaram*. Gdy zaproponowała mi współpracę. Nie miałam wątpliwości. Nie można bowiem ignorować podszeptów miasta, a tym bardziej zmieniać drogi rozpędzonego rollercoastera.

Ta książka nie była oryginalnie moim pomysłem, Hania ją sobie wymarzyła. Ja zrealizowałam ją po swojemu – podejrzewam, że znacznie odchodząc od pierwotnej wizji wydawczyń.

Gregory David Roberts dał nam swoje błogosławieństwo. Ale nie głos. Celowo nie ma tu jego głosu. Bo ta książka nie jest o nim. Nie stanowi również recenzji czy analizy *Shantaram*.

To opowieść o mieście, dawnym Bombaju i Mumbaju dzisiaj. Roberts i jego powieść posłużyli za soczewkę, przez którą ośmieliłam się spojrzeć na to miasto. I oddać mu głos.

## **1. Dawniej Bombaj, Mumbaj dzisiaj**

W 1995 roku zmieniono nazwę miasta. Bombaj stał się Mumbajem. I w takiej wersji oficjalnie funkcjonuje do dziś.

W książce posługuję się dwiema nazwami miasta. Nie żongluję nimi dowolnie, tylko używam obu, kierując się dość rygorystyczną zasadą. Wszystko, co dotyczy zdarzeń sprzed 1995 roku, umiejscawiam w Bombaju. To, co nastąpiło później – po 1995 roku – lokuję w Mumbaju.

Wymagają tego ode mnie poprawność i zachowanie klarowności tekstu.

Gdy jednak już znajdziecie się na ulicach miasta i zaczniecie wsłuchiwać się w jego szepty, zorientujecie się, że w użyciu występują obie formy. I możecie wybrać tę, która jest wam bliższa.

## 2. Slumsy

Nie można ich pominąć, zlekceważyć, zbagatelizować. Nie można – to niewybaczalne i zupełnie nie na miejscu.

To działanie na siłę, wynikające z potrzeby kalkulacji i zachowania pozorów. Przecież Mumbaj jest czystym żywiołem, samokształtującym się bytem, naturalnie rozrastającym się odnoga po odnodze. Slumsy – tutaj jak nigdzie indziej – są nieodłączne od rytmu miasta, stanowią jego gorący oddech. Są wewnętrznym biciem przeciążonych organów tej wielkiej metropolii.

Zajmują każdą wolną przestrzeń. Pozornie rozwijają się bez kontroli, ale w praktyce ten proces jest sterowany odgórnie. Podsyćany potrzebami rynku, kreowany ogólnoswiatową tendencją do migracji do dużych miast, w końcu zapotrzebowaniem wśród bogatych na usługi świadczone przez biednych. Akceptowany przez ogół, przez tych wewnątrz i tych spoza. Dla jednych to być albo nie być, dla drugich – zastany i jakże wygodny porządek rzeczy.

W zawiłym archipelagu miasta slumsy przyklejają się do małych wysp dobrobytu, a tych w Mumbaju również nie brakuje. Pośpiech i napięcie współlistnieją z beztroską i swobodą tak wyraźnie charakteryzującymi zamożność.

Slumsy tuż obok enklaw bogactwa. Jedne wsparte o drugie, siedzące na sobie okrakiem, zawsze od siebie zależne.

Nie potrafią spojrzeć sobie w oczy, choć są świadome swojego istnienia.

Nie mogą poluzować uścisku, choć ten mocno uwiera, jest wręcz kurczowy.

Nie widzą się, choć patrzą na siebie całymi dniami.

Jedno trwa przy drugim – choć razem, to jednocześnie tak bardzo osobno.

## **W cieniu bliźniaczych wież. Ambedkar Nagar**

Ali jest moim Prabakerem. Tak zwykłam nazywać go w myślach od początku naszej znajomości. Mieszka w slumsach na Cuffe Parade, przy Navy Nagar – właśnie tych przylegających do Kolaby, gdzie stacjonowali Lin z *Shantaram* i jego indyjscy przyjaciele, na czele z Prabakerem. Choć od lat osiemdziesiątych, kiedy rezydował tu Lin, ten skrawek przestrzeni zmienił się pod względem infrastruktury, nadal jest jednym z gęsto zaludnionych slumsów południa Mumbaju. Dziś opatrzony nazwą Ambedkar Nagar.

Czas przyniósł jednak wyraźne zmiany.

W książce miejsce to dzieli się na legalną i nielegalną część. W pierwszej zwykli mieszkali robotnicy rosnącego wówczas biurowca World Trade Center (WTC). Ściągnięci do miasta z bliższych lub dalszych wiosek, żeby za skromne wynagrodzenie pracować przy budowie wysokościowca.

WTC miał być połyskującym elementem nowoczesnych Indii, miejscem wymiany kulturowej, handlu, promocji sztuki – praktycznie wszystkim, co wiąże się z rozwojem i szerzeniem biznesowych perspektyw. Uwijający się przy stawianiu kolejnych pięter nie doświadczyli atmosfery prestiżu tworzącej się wokół dwóch charakterystycznych białych wież – mozolnie wznoszonych nad samiułtkim brzegiem, by w przyszłości z biura na trzydziestym piętrze można było podziwiać otwarty, niczym nieograniczony

widok na Morze Arabskie. Nie otarli się o zimną elegancję ze stali i szkła. Nie zaznali choćby skrawka budowanych ich rękoma nowoczesności i blichtru. Nie mieli nawet prawa do niezbędnego minimum – nikt im nie zapewnił bezpiecznych i godnych warunków pracy. Deweloper, zgodnie z lokalną praktyką, gdy dawał im pracę, nie zadbał o jakiegokolwiek lokum. Nie musiał. Prawo tego nie nakazywało. Zatrudnieni spali więc na terenie budowy, tuż obok narzędzi porzuconych po ciężkim dniu pracy, pod plandeką, na gołej ziemi. Tak powstało robotnicze osiedle, które szybko przekształciło się w slums. Ten powoli rósł, z roku na rok coraz lepiej zorganizowany. W końcu otoczono go siatką – dla bezpieczeństwa i żeby nikt niezwiązany z pracą przy WTC, nawet najbliższa rodzina robotników, nie zagościł w nim bez pozwolenia. A budowa trwała, od położenia kamienia węgielnego do ukończenia dwóch wież minęło kilkanaście lat. Kilkanaście lat kontaktu z miastem, rozglądania się za nowymi możliwościami, tęsknoty za domem, sprowadzania rodzin wbrew zakazom. Slums pęczniał. Z czasem – przez dziury, które powstały w siatce – wylał się na zewnątrz, gdzie całą swoją nieograniczoną energią i potrzebą istnienia rozrósł się jako slums bezprawny, nieoficjalny i teoretycznie niewidoczny. A jednak żywy i – jak to bywa z dzielnicami nędzy w dawnym Bombaju, a Mumbaju dzisiaj – nie do przeoczenia czy zbagatelizowania.

Właśnie w nim stacjonował Lin.

Do dzisiaj ostała się tylko ta druga, nielegalna część slumsu.

Teren bezpośrednio przylegający do biurowca, gdzie w trakcie prac mieszkali robotnicy, zajęły parkingi, podjazdy, arkady i ogród z wypielęgnowanymi krzewami. Po wykonaniu zadania budujący

WTC przestali być potrzebni, zabrakło już dla nich miejsca. Slums został usunięty. Nikt nie interesował się ich dalszym losem. Część przeniosła się na inną budowę, niektórzy wrócili na wieś, a dla większości nadszedł czas dołączenia do tych po drugiej stronie siatki. Gdzie wciąż toczy się skromne ludzkie życie.

Już od pięćdziesięciu lat WTC góruje nad resztą zabudowy Cuffe Parade, tej ekskluzywnej i drogiej dzielnicy miasta. Dziś zamiast robotników harujących na wysokościach – książkowych kumpli Lina, z którymi spędzał wieczory, imprezując na betonowej posadzce najwyższego poziomu biurowca – do klimatyzowanego wnętrza nieprzerwanie od poniedziałku do piątku w godzinach pracy wchodzi tłumy eleganckich, zapewne wykształconych pracowników. Głównie panów, niestety, bo świat indyjskiego biznesu nadal jest niemalże jednolicie męski.

Kremowe wieżowce WTC widać z daleka. I to nie tylko z nabrzeża, skąd można podziwiać panoramę miasta, ale również ze znacznie większej dali, bo obecne są też w finansowych sprawozdaniach czy słupkach wzrostu gospodarczego Indii. W potężnym cieniu bliźniaczych wież, w małych ceglanych domkach lub wątych bambusowych chatkach na podmokłym brzegu, rozgrywają się inne ludzkie historie, bardzo odległe od wskaźników szerokości rynku, za to pełne twórczego drżenia, niezarejestrowanych mikrobiznesów i zupełnie zwykłych codziennych emocji i spraw.

Ali pochodzi ze wsi – co prawda nie tej marackiej, jak to było w przypadku Prabakera, tylko jeszcze bardziej odległej, bo z suchego północnoindyjskiego Bihar. Zanim jako już prawie dorosły mężczyzna przybył do Mumbaju, przez parę lat mieszkał w innym



indyjskim megapolis, w Kolkacie\*, gdzie uczył się i pracował pod okiem srogięgo wuja. Od kilkunastu lat mieszka w Ambedkar Nagar na Cuffe Parade.

Jest mniej więcej w tym samym wieku co książkowy Prabaker. I myślę, że ma dość podobne do niego usposobienie i fizjonomię. Co prawda spotkałam Prabakera jedynie na kartach *Shantaram*, ale mam wrażenie, jakbym go znała od zawsze. Pokochałam go. Śmiałam się z nim i płakałam, gdy działa mu się krzywda. Ali wzbudza podobne emocje. Szybko zjednuje sobie ludzi. Co więcej, ma doskonałą intuicję – dokładnie jak Prabaker. Jest niski, ma okrągłą buzię i szeroki uśmiech. Może nie aż tak szeroki, jak ten Prabakera, bo przecież wszyscy wiemy, że jego jaśniał bardziej niż słońce, sięgał od ucha do ucha, a nawet znacznie wychodził poza owal twarzy. Uśmiech Prabakera był jedyny w swoim rodzaju – i niech tak pozostanie.

Ali jest pracowity i ambitny. Kocha wolność. Pewnie dlatego pomimo nauki w prestiżowym St. Xavier's College po uzyskaniu dyplomu z marketingu i reklamy – co nobilitowało go, by dołączyć do rzeszy mumbajskich pracowników biurowych z solidnym etatem, stałym rozkładem dnia i pensją co miesiąc spływającą na konto – na przekór wszystkim wsiadł do taksówki otrzymanej w spadku po tacie. I gdy tak jak Prabaker jeździł nią po ulicach miasta, szybko zorientował się, że drobne usługi świadczone zagranicznym turystom są czymś, co na dłuższą metę może dać mu satysfakcję i nie do końca stabilny, ale sensowny dochód. Trzeba mieć tylko podejście do ludzi, dużo uroku osobistego, dobrą gad-

\* Kolkata – stolica stanu Bengal Zachodni. Dawna nazwa Kalkuta funkcjonowała do 2001 roku.

kę, a przede wszystkim znać i kochać swoje miasto. Ali, wzorem Prabakera, spełnia wszystkie powyższe kryteria. Poza tym jest właścicielem czarno-żółtej taksówki, której sklepienie obito skajem z miniaturowymi wizerunkami znanych obiektów. Wieżę w Pizie wytłoczono tuż obok londyńskiego Big Bena, między Łukiem Triumfalnym a wieżą Eiffla z Paryża. Prawdziwy skarb i jego małe imperium. Ali, przemierzając zatłoczone arterie Mumbaju, ma nad głową skrawki Europy.

Całym światem Alego jest Mumbai – Kolaba i Sassoon Docks, slumsy, taksówka, czapka z daszkiem, której nigdy nie ściąga z lekko łysiejącej głowy, uliczne korki, a te mumbajskie mają specyficzną dynamikę, w której chyba tylko Indusi potrafią odnaleźć jakąś prawidłowość i sens. Jego światem są też rodzina i najbliższy przyjaciel Gufran z sąsiedzkiej slumsowej chatki, z którym od niedawna prowadzi małą firmę i NGO wspierające lokalne dzieciaki. Prowadzona przez obu działalność skupia się na różnego rodzaju miejskich wyprawach – pieszych i rowerowych, za dnia oraz roztańczoną nocą, w tym również, a może przede wszystkim, na wycieczkach do slumsów z *Shantaram*, gdzie dawniej mieszkał i prowadził swoją klinikę wychudzony długowłosej Lin. Chłopaki zarabiają jako kierowcy i samozwańczy przewodnicy, prowadzą nieznajomych po zakamarkach ukochanego Mumbaju. Zapraszają turystów pod swój dom i do prowadzonej przez siebie jednoizbowej szkółki dla maluchów z sąsiedztwa, zbierają datki na przybory szkolne oraz jedzenie dla swoich podopiecznych i ich rodzin. Są ważnym ogniwem lokalnej społeczności. Obaj dobrze komunikują się po angielsku, są energiczni, godni zaufania, pełni optymizmu. Również zdeterminowani, bo – poza garstką szkolnych dzieciaków – każdy z nich ma na utrzymaniu

zonę i syna, uczące się jeszcze rodzeństwo i stare matki, a jak trzeba, to i dalszych krewnych na kolejnym życiowym zakręcie. Jak to w indyjskiej rodzinie. Klientom opowiadają o funkcjonowaniu w slumsach, o sobie, wspominają o książce, choć ta jest tylko pretekstem, delikatną, acz istotną zahaczką do ciekawej narracji o życiu tu i teraz, w wąskich uliczkach w cieniu wysokich wież WTC. Turyści chętnie wsłuchują się w ich historie.

Gdy pierwszy raz w towarzystwie Alego trafiam do slumsów, idziemy prosto do domu Jitendry [Džitendry]. Znajduje się on w bezpośrednim sąsiedztwie dawnej kliniki Lina, dosłownie tuż obok. Jitendra jest dwa razy starszy od chłopaków, Alego i Gufrana. Jako dzieciak poznał Gregory'ego Davida Robertsa, gdy ten był wówczas trzydziestoletnim uciekinierem, kryminalistą, zbiegłym więźniem bez wizy, pieniędzy, planów. Istny *role model* dla żadnego przygód nastolatka. Dzięki Prabakerowi Lin zamieszkał w Ambedkar Nagar, gdzie za skromną opłatą zyskał przywilej rozplynięcia się w tłumie – możliwość nieodnotowanego pobytu w bambusowej chatce w nielegalnej części slumsu.

Rodzina Jitendry mieszkała obok. Jego matka, zaraz po niespodziewanej i zdecydowanej przedwczesnej śmierci męża, wraz z czterema synami wprowadziła się do slumsów w 1980 roku. Praktycznie w tym samym czasie co Lin. Jitendra miał wtedy zaledwie dwanaście lat. Czterdzieści lat później nadal tu jest.

Dziś slums jest lepiej zorganizowany. Niektóre alejki mają swoje nazwy, domy zostały opatrzone numerami – na drzwiach wejściowych Jitendry widnieje numer 187 – jest czystiej i bezpieczniej. Wszystko sprawia wrażenie większej stabilności, bo obecnie buduje się z solidniejszych materiałów niż dykta, plastik, tyczki bambusa

i liście palmy, które stosowano dawniej. Nadal jest bardzo tłoczno, a nawet tłoczniej, każdego roku do miasta przybywają bowiem kolejni migranci. W całym Ambedkar Nagar znajduje się mniej więcej trzydzieści tysięcy wciąż na poły legalnych domów. Slums się rozrasta.

Dom Jitendry, jak na slums przystało, nie jest duży, choć teraz zajmuje już dwa poziomy. Na ten górny wchodzi się po stromych schodach, bardziej przypominających drabinkę. Kiedy Jitendra był dzieckiem, z mamą i braćmi gnieździł się w jednym pokoju na dole. Obecnie ma do dyspozycji więcej miejsca. Ze swoją rodziną (żoną i dwoma nastoletnimi synami) użytkują aż dwie izby, przy czym ta na pięterku dzieli się na dwie części. W pierwszej, bliżej wejścia, jest mała kuchenka z piramidą aluminiowych garnków piętrzącą się na blacie, w głębi – coś na kształt salonu, sypialni i garderoby w jednym. Wszystko w sporym nieładzie. Pod ścianami materace, które rozkłada się, gdy nadchodzi pora wypoczynku. W rogu stoi wysoka, nad wyraz wąska metalowa szafka zamykana na klucz, najwyraźniej służąca jako sejf na wszystkie rodzinne kosztowności – bardzo pożądanym mebel w jednym z wilgotniejszych miast świata. Obok niej wiszą dobrze wyeksponowane dwa zdjęcia w przybrudzonych ramkach. Na obu widać Jitendrę z Gregorem Davidem Robertsem – na pierwszym są w uścisku, na drugim siedzą na motocyklach. Oba wykonano niedawno, zaledwie kilka lat temu.

Dom wyposażono w toaletę, co znacznie podnosi komfort życia i standard zakwaterowania, a to ma realne przełożenie na rynkową wartość nieruchomości. Większość mieszkańców Ambedkar Nagar nie ma takich luksusów – dziewięćdziesiąt procent domów nie dysponuje prywatnymi toaletami. Trzeba chodzić do publicznych.

Na całym terenie slumsu znajduje się ich kilka. Są duże, oddzielne dla mężczyzn i kobiet, czynne wyłącznie w ciągu dnia, oczywiście płatne. Co ciekawe, cena za skorzystanie z toalety nie jest wszędzie taka sama. Przecież slums nie jest jednolity. Na skraju stoją solidniejsze domy należące do lepiej prosperujących mieszkańców, takich jak Jitendra. Im dalej od głównej drogi, z której wchodzi się na teren dzielnicy, im bardziej w głąb labiryntu wąskich ulic, tym ciśnień, tłoczniej i bardziej ubogo. Cena za toaletę waha się od trzech do pięciu rupii. W miarę zanurzania się w slums ceny usług spadają – dostosowuje się je do możliwości finansowych lokatorów. Kilka rupii za jednorazowe skorzystanie z ubikacji to i tak w sumie niemało. Ponoć prowadzenie tu toalety jest dobrym biznesem.

Ambedkar Nagar znajduje się nad samą wodą. Nocą, gdy toalety są zamknięte, trzeba iść za potrzebą na nabrzeżne skały. Dokładnie tak, jak dawniej. W tej kwestii nic się nie zmieniło.

W książce Lin w chwilach melancholii lub zwątpienia (albo w romantycznym uniesieniu, kiedy rozmyśla o zielonookiej Karli, co – trzeba przyznać – zdarza się mu wyjątkowo często) chadza nocą na te skały i patrzy w morze. Wystawia twarz na wiatr i słucha fal bijących o brzeg. Rzadko jest tam sam, bo w slumsach wszystko dzieje się jedno obok drugiego. Ludzkie sprawy rozgrywają się równolegle. Defekacja ma miejsce tuż obok kontemplacji i nikomu nie może to przeszkadzać. Taka jest specyfika *dźhoparpatti*\*.

Z metalowej szafki zamykanej na klucz Jitendra wyciąga album ze zdjęciami. Najpierw pokazuje kilka rodzinnych fotografii.

\* *Dźhoparpatti* (hindi) – slums.





Gregory David Roberts, slums Ambedkar Nagar, lata osiemdziesiąte

Jitendra szybko przechodzi do dalszej części zbioru. Nie wszystkie odbitki mieszczą się w kieszonkach albumu, większość wsadzono luzem. Podaje mi czarno-biały portret około trzydziestoletniego Gregory'ego Davida Roberta. I nagle czuję się, jakbym dokonała ważnego odkrycia. Zrobiłam solidny research, obejrzałam w internecie setki zdjęć Roberta, ale takiego ujęcia nie znalazłam.

Patrzy prosto w obiektyw. Jest młody, chudy – wręcz bardzo chudy. Nie wygląda zbyt zdrowo. Ma cienkie blond włosy sięgające ramion, mniej więcej pośrodku głowy przedziałek. Na szyi nosi rzemyk z wisiorkiem. Lekko owłosiony tors zakrywa jedynie biała koszulka na ramiączkach. Jego twarz emanuje spokojem. To zdjęcie zrobiono w czasach, gdy był slumsowym Linbabą i prowadził swoją klinikę. Obok znajduje się wujek Jitendry. Sam Jitendra był wówczas nastolatkiem.

Na kolejnym zdjęciu uśmiecha się już pewnie czterdziestoletni Jitendra, nadal z czarnym wąsem, stojąc pomiędzy Gregorym a jego księżniczką\*. Tylko on skierował twarz w stronę obiektywu, patrzy przed siebie, ale prawie nie widać jego oczu – w grymasie uśmiechu przymknął powieki. Gregory z ukochaną są zwróceni ku sobie, stoją bokiem do aparatu, spoglądają na siebie zalotnie. Uśmiechnięci, swobodni, pełni życia. Takiego Robertsa znam z medialnego przekazu, zdjęć, wywiadów, zapisów spotkań autorskich – już po wielkim sukcesie *Shantaram*. Dojrzałego, z bardziej uważnym spojrzeniem. Z wysokim czołem, długimi blond włosami mocno ściągniętymi w wątyły kucyk albo zaplecionymi w warkocz opadający na plecy. Zawsze w czerni.

Widać, że dla Jitendry te zdjęcia stanowią cenną pamiątkę. Mężczyzna chętnie dzieli się swoją historią, a znajomość z Gregorym dużo dla niego znaczy. Obecnie nie ma z nim kontaktu. W ciągu ostatnich kilku lat Roberts nie odwiedził Mumbaiu, na jakiś czas całkiem zniknął z życia publicznego. Przepadł, zresztą nie tylko dla Jitendry – również dla rzeszy fanów na całym świecie. W 2014 roku na oficjalnej internetowej stronie *Shantaram*<sup>1</sup> zamieścił pożegnanie i udał się w miejsce odosobnienia, by trwać w duchowej izolacji. Zapewnił, że objawi się ponownie, gdy uzna, że nadszedł czas na kolejne spotkanie ze światem.

Gdy rozmawiamy, Jitendra wciąż czeka na jego odwiedzin.

Jedno z ostatnich spotkań pamięta szczególnie dokładnie. Poza tym, że miał okazję zobaczyć starego przyjaciela, dostał małą

\* Rumuńska księżniczka Françoise Sturza, była narzeczona Gregory'ego Davida Robertsa. Prezeska fundacji Heart for India założonej w 2005 roku w Ćennai, której celem jest wspieranie sierot i kobiet pozbawionych środków do życia.



## Babasaheb Ambedkar

Niedotykalni, pariasi, pozakastowcy czy *haridżan*\* – to terminy, które dawniej stosowano do określenia członków najniższych *dźati*, czyli *kast*\*\* , urodzonych w ramach tradycyjnego społeczeństwa hinduskiego. Ludzi znajdujących się nie tyle na samym dole przyjętej struktury społecznej, co właściwie poza hierarchią systemu warnowo-kastowego. Tradycja przypisała im wykonywanie najpodlejszych, tak zwanych nieczystych zawodów, których nie chcieli wykonywać hindusi urodzeni szlachetniej, ponieważ powodowały one tymczasowe bądź trwałe skalanie rytualne. Do takich zajęć należą odbieranie życia innym stworzeniom, oporzędzanie zwłok czy prace związane z kontaktem z wydzielinami innych ludzi. Skalanie czyniło ich niedotykalnymi, tym samym pozbawiało możliwości fizycznego kontaktu z innymi warstwami społecznymi. Prowadziło do częściowego bądź całkowitego wykluczenia. Ostracyzm wypychał ich zatem na obrzeża miast i wsi, zmuszał do korzystania z osobnych ujęć wody (studni), zabraniał wstępu do świątyń czy miejsc użyteczności publicznej. W konsekwencji nie tylko spychał ich na skraj ubóstwa, ale też powodował wyraźne upośledzenie społeczne i ekonomiczne.

Stopniowo zaczęto odchodzić od tych krzywdzących określeń. Zastąpił je zapożyczony z sanskrytu termin *dalit*\*\*\*, który wszedł do powszechnego użycia w latach osiemdziesiątych XX wieku. Spo-

\* *Haridżan* – dosłownie „boże dzieci”, termin wprowadzony przez Mahatmę Gandhiego.

\*\* *Casta* (port.) – ród, gatunek.

\*\*\* *Dalit* – dosłownie „uciśniony”.

łączeństwo Indii powoli dojrzewało do dostrzeżenia cierpienia i uznania krzywdy osób z najniższych kast społecznych. O równouprawnienie dalitów i wyrugowanie dyskryminacji kastowej walczył, w ramach swoich zawodowych działań i poprzez przyjętą życiową postawę, Ambedkar – prawnik, polityk, reformator społeczny. Pierwszy minister sprawiedliwości Indii, twórca indyjskiej konstytucji. Jak również dalita.

Doktor Bhimrao Ramdži Ambedkar, znany jako Babasahab Ambedkar, urodził się 14 kwietnia 1891 roku w Mhow – mieście w dzisiejszym stanie Madhja Pradeś, w 2003 roku oficjalnie przemianowanym na Dr Ambedkar Nagar. Był czternastym i ostatnim dzieckiem w rodzinie należącej do niskiej *dźati* zaliczanej do niedotykalnych. Jego ojciec służył w randze podoficera w Armii Indyjskiej podlegającej Brytyjczykom, ale mimo że miał dobry zawód, co pozwoliło mu zapewnić rodzinie przyzwoity poziom życia, nie był w stanie ustrzec swoich bliskich przed dyskryminacją. Jako dziecko w ramach systemu edukacji, jak również w późniejszej praktyce zawodowej – właściwie niezależnie od pełnionej funkcji – Ambedkar, stykał się z wykluczeniem społecznym. Oprawcami byli oczywiście hindusi urodzeni w wyższych kastach. Wśród tej grupy znaleźli się jednak również tacy, którym z różnych względów nie odpowiadała bramińska dominacja i dążyli do osłabienia systemu warnowo-kastowego. Ci zaoferowali mu wsparcie, głównie finansowe, jak również protekcję, dzięki czemu Ambedkar mógł się kształcić i rozwijać swoją karierę.

W 1897 roku rodzice Ambedkara postanowili przenieść się do Bombaju, gdzie kilka lat później ich najmłodszy syn rozpoczął naukę w prestiżowym anglojęzycznym liceum Elphinstone. Po jego ukończeniu w 1907 roku jako pierwszy dalita w historii Indii podjął studia

wyższe. Na Uniwersytecie Bombajskim uzyskał dyplom magistra w zakresie ekonomii i nauk politycznych. Dzięki stypendium ufundowanemu przez maharadżę Barody wyjechał do Nowego Jorku na Uniwersytet Columbia, gdzie zdobył tytuł doktora ekonomii. W późniejszych latach kontynuował naukę na uczelniach w Londynie (The London School of Economics and Political Science), gdzie kształcił się również w zakresie prawa (Gray's Inn). Po powrocie do Indii przyjął posadę wykładowcy ekonomii politycznej w Sydenham College of Commerce and Economics w Bombaju.

Ekonomista, prawnik, później również dziennikarz, pisarz i polityk, w końcu ojciec indyjskiej konstytucji. W niepodległych Indiach pierwszy minister sprawiedliwości. A przede wszystkim wielki reformator społeczny. W 1990 roku uhonorowany pośmiertnie za całokształt akademickiej, politycznej i społecznej działalności najwyższym cywilnym państwowym odznaczeniem – orderem Bharat Ratna.

Już w połowie lat dwudziestych stał się jednym z najważniejszych rzeczników równouprawnienia niedotykalnych. Dyskryminację kastową uważał za najgroźniejszą chorobę toczącą indyjskie społeczeństwo, a fakt istnienia niedotykalności – za jego największe wynaturzenie.

W 1924 roku założył Bahiszkryt Hitakarini Sabha (Rada do Spraw Wykluczonych) – pierwszą organizację prawnie wspierającą dalitów i członków innych grup zmarginalizowanych. Jako adwokat reprezentował dalitów na sali sądowej – były to głośne procesy wzbudzające wiele emocji, prowokujące liczne dyskusje publiczne. Walczył o powszechny dostęp do edukacji i godnej pracy, ale też przyznanie dalitom szeregu podstawowych praw gwarantujących im funkcjonowanie wewnątrz, a nie obok społeczeństwa. Wyrażał potrzebę wprowadzenia osobnego systemu wyborczego oraz powołania parytetów

dla społeczności doświadczających dyskryminacji ze względu na pochodzenie.

W 1936 roku założył Niezależną Partię Pracy, która później została przekształcona we Wszechindyjską Federację Kast Rejestrowych. Kilkakrotnie pełnił funkcje publiczne, zarówno w czasach Indii Brytyjskich, jak i po 1947 roku – jako pierwszy minister sprawiedliwości w rządzie Jawaharlala Nehru [Dżawaharlal Nehru] został mianowany przewodniczącym konstytucyjnej komisji projektowej. Między innymi dzięki jego postawie w tekście konstytucji, która weszła w życie 26 stycznia 1950 roku, zagwarantowano wszystkim obywatelom Indii prawa podstawowe, a artykuł 15 zakazał dyskryminacji ze względu na religię, rasę, przynależność kastową, płeć lub miejsce urodzenia. Zapis ten jednak nie oznacza delegalizacji systemu warnowo-kastowego. Zabrania dyskryminacji, a nie – jak się to często mylnie interpretuje – samego funkcjonowania kast, które de facto nigdy nie miały formy prawnej, a ich uznawanie jest kwestią dawno przyjętego porządku społecznego czy mentalności.

Natomiast na mocy artykułu 17 prawnie zniesiono niedotykalność. Zgromadzenie Konstytucyjne zdefiniowało dalitów i część grup plemiennych (tzw. *adiwasi*) jako zacofane społecznie i tym samym zobowiązało państwo do opieki nad nimi. Nazwano je Kastami Rejestrowymi (*Scheduled Castes*) i Plemionami Rejestrowymi (*Scheduled Tribes*). Podjęto wobec nich tak zwaną „akcję afirmatywną, rezerwując w urzędach i placówkach edukacyjnych, a także parlamencie federacyjnym i zgromadzeniach stanowych, 15 procent miejsc dla Kast Rejestrowych, a kolejne 7,5 procenta miejsc dla Plemion Rejestrowych”<sup>2</sup>. Planowano, iż będzie to rozwiązanie tymczasowe, przewidziane na dwadzieścia pięć lat, by szybko i sprawnie zniwelować dysproporcje społeczne, wydzwignąć wykluczone wspólnoty

z ubóstwa, dać im szansę na zaistnienie w strukturach państwa. A jednak funkcjonuje ono do chwili obecnej.

Co więcej, w latach dziewięćdziesiątych akcja afirmatywna weszła w drugą fazę. Grupę beneficjentów rozszerzono o kolejną, bardzo liczną społeczność kast pośrednich (głównie śródów, czyli członków czwartej – najniższej – warny), na potrzeby akcji określoną mianem Innych Zacofanych Kast (*Other Backward Castes*), i przeznaczono dla nich kolejne 27 procent posad rządowych i miejsc na uczelniach.

Choć w warstwie deklaratywnej akcja afirmatywna – o co tak zawzięcie walczył Ambedkar – miała dać możliwość wyrównania szans i doprowadzić do ujednolicenia rozwarstwowanego społeczeństwa, co tylko częściowo się udało, równoległe stała się podstawą dalszego kategoryzowania ludzi. Spowodowała wzrost znaczenia przynależności kastowej. W pewnym sensie uprawomocniła funkcjonowanie warnowo-kastowej hierarchii społecznej. Niestety – wbrew pierwotnym ambicjom pomysłu- i prawodawców – zdecydowanie nie przysłużyła się wyeliminowaniu kastowości z mentalności hindusów.

Ambedkar urodził się jako hindus, zmarł jako buddysta. Choć życie oddał walce z niesprawiedliwością i z wielkim sukcesem zmieniał rzeczywistość społeczną dla siebie oraz swoich dalekich współbraci i sióstr, ostatecznie, chcąc całkiem uwolnić się od stygmatu niedotykalności, wybrał inną ścieżkę. Fascynował się buddyzmem, jego egalitarnym charakterem. 14 października 1956 roku, zaledwie dwa miesiące przed śmiercią, został buddystą. Wraz z nim, w ramach ogromnej publicznej ceremonii, konwersji dokonało około pięciuset tysięcy hindusów, jego dalekich współbraci i sióstr.

Zmarł 6 grudnia 1956 roku w swoim domu w New Delhi.

fuchę – nieoficjalnie ochraniał Madonnę i jej ówczesnego męża Guya Ritchiego, którzy 8 stycznia 2008 roku w ramach wakacji w Indiach odwiedzili Mumbaj i w towarzystwie Gregory’ego Davida Robertsa zwiedzali miasto szlakiem miejsc opisanych w jego powieści. Poza liczną prywatną ochroną artystki również Jitendra i kilku zaufanych znajomych autora torowali parze drogę przez slums. Madonna była gościem w domu Jitendry, bo – jak już wiemy – ten znajduje się tuż obok kliniki Lina opisanej w książce. Widać, że odwiedzający dawne kąty Robertsa proszeni są tu na herbatkę, tak jak ja teraz.

Madonna zawitała do Ambedkar Nagar i spędziła tam może czterdzieści minut. Tego dnia zobaczyła też kilka innych miejsc istotnych dla wartkiej fabuły *Shantaram*, miała najlepszego przewodnika w postaci samego autora. Uważnie go słuchała, co widać na licznych filmikach, które z łatwością można odnaleźć w sieci. Jechali główną ulicą Kolaby w pobliżu Sassoon Docks, gdzie wpadli coś zjeść w ulubionej knajpce Gregory’ego, o której też kilkakrotnie wspomina on w książce. Podejrzewam, że miło spędzili czas. W wywiadach Roberts często opowiada o spotkaniu z Madonną, wychwala jej otwartość, intelekt, poczucie humoru. Widać nie tylko dla Jitendry był to dzień godny zapamiętania.

Dom Jitendry jest wart miliony. Dwa poziomy, dość spory metraż – jak na dzielnicę nędzy – w dobrej części slumsu. Nie mówiąc już o lokalizacji w samym mieście: w jednej z bardziej prestiżowych dzielnic południowego Mumbaju. Wartość budynku szacuje się na piętnaście lakhów\* rupii indyjskich, czyli prawie dwadzieścia

\* *Lakh* (hindi) – sto tysięcy.

tysięcy dolarów\*. Spora kwota. Szczególnie że nie można go wystawić na oficjalną sprzedaż. Tak to już bywa, gdy w grę wchodzi spór o własność nieruchomości. Cena domu niebawem pójdzie w górę. Powoli dobiega końca budowa krańcowej stacji nowej linii metra, biegnącej z wysuniętego najdalej na południe skrawka Mumbaju, czyli dzielnicy Cuffe Parade, daleko na północ, aż na międzynarodowe lotnisko imienia Ćhatrapatiego Śiwadźiego Maharadźa. Ogromna inwestycja. Stacja ma się znajdować na progu wieżowca WTC, przy samiutkim wejściu do Ambedkar Nagar.

Niektórzy przewidują, że zamiast zysków rozbudowa metra przyniesie mieszkańcom straty. Slums stanie się bardziej widoczny. A miasto zabierze te ziemie.

Od samego początku w slumsie jest duża rotacja ludności, w zasadzie wszyscy to przyjezdni. Z odległego Biharu czy marackiej wioski, suchej Karnataki lub północno-wschodniego Bengalu Zachodniego. Każdy skądś przywędrował, czasem tę wędrowkę rozpoczął już ojciec lub dziad. Każdy ma tę swoją odległą, wręcz mityczną rodzinną wieś, o której zawsze pamięta. Często stanowi ona azymut wszelkich działań i planów. Tęskni się do niej, a ta nieustannie objawia się w snach o spokojnym życiu blisko natury. Jest dziedzictwem, punktem odniesienia, miejscem, gdzie znajdują się rodowe korzenie. Również majątkiem, z którego się nie korzysta, a wręcz wiecznie się do niego dokłada. Zdarza się ją przeklinać, gdyż obowiązek posyłania pieniędzy krewnym, którzy zostali na wsi, ciąży niemiłosiernie. Ale każdy w dalszej perspektywie –

\* Kwoty tu podane pochodzą z czasu zbierania materiałów do książki i pracy nad nią, czyli z lat 2020–2023. W tym okresie kurs dolara amerykańskiego (USD) do rupii indyjskiej (INR) utrzymywał się na poziomie 1 do 82.

w czasie emerytury, na którą niewielu może liczyć – chce do niej powrócić.

Starzy, wyczerpani wieloletnią intensywną pracą w tym wymagającym mieście, wreszcie wracają na wieś. Młodzi, pełni marzeń i zapału, zajmują ich miejsce. Slumsowe domy przechodzą z rąk do rąk, legalnie czy nie – transakcje są zawierane na okrągło, na mumbajskim rynku nieruchomości nie ma przestoju. Najczęściej jednak zaczyna się od wynajmu.

Dom Jitendry można by wynająć za pięć tysięcy rupii miesięcznie. Zgodnie z wewnętrznym prawem dzielnicy kaucja obejmuje płatność za jedenaście miesięcy z góry. To wręcz nieosiągalna kwota, gdy stawia się pierwsze kroki w nowym mieście. A opłata za wynajem to nie wszystko. Trzeba jeszcze pokryć rachunki za wodę, prąd (każdy dom ma swój licznik), abonament telewizyjny. Nic tu nie jest za darmo.

Pomiędzy widocznym a niewidzialnym, legalnym a bezprawnym, tym, co prywatne, a tym, co państwowe, jest bardzo cienka granica.

## **Dom miliona dusz. Dharawi**

Gdy zapada zmrok, tę część miasta obleka ciemność. Może nie absolutna ciemność, bo niemalże w każdym domu czy warsztacie tli się blade światło nagiej żarówki, brak ulicznego oświetlenia sprawia jednak, że mrok wżera się w przestrzeń, a przychodząca noc jest odczuwalna niemal fizycznie. Ciemność i cisza. I tak aż do wschodu słońca, kiedy to ponad milion par oczu otworzy się, by w geście błogosławieństwa powitać nowy dzień. Nowy dzień wypełniony pracą. W upale i tłoku. Zaczyna się ruch, z każdą minutą